

# Zajdziński, Tadeusz

---

## Przez bolszewicki kraj – pod Monte Cassino : w Palestynie, Libanie i Egipcie

---

Biezuńskie Zeszyty Historyczne 16, 109-116

---

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Po wizycie gen. Sikorskiego w Iraku, po defiladzie i wspólnym przemówieniu wodza, w którym przekazał nam szczerą wiarę, że walczymy dla Polski i wrócimy jako zwycięzcy, było dla nas tragicznym zaskoczeniem, kiedy w niespełna tydzień, dotarła wiadomość, że gen. Sikorski nie żyje, że samolot, który startował z Gibraltaru runął do morza i wszyscy zginęli. Mówiono wtedy, że uratował się tylko pilot i rzeczywiście, była to prawda. Żołnierze i oficerowie nie wstydzili się łez, płakali! Taką wiarę pokładali, że będzie nami dowodził zwycięsko, że wróci z nami do Polski. Tymczasem ten, który wiarę tę w nas wpałał, odszedł pierwszy w tak tragiczny sposób. Nawet ci, którzy byli przeciwnikami jego polityki, przestraszyli się. Niedawno był tutaj, zaledwie kilka dni temu i cieszył się wojskiem tak dobrze wyszkolonym. Wierzył, że tym wojskiem będzie dowodził i będzie wracał z nim do Polski, a potem Polskę budował. Nie wiadomo dlaczego tak się stało. Wszyscy byliśmy wtedy przekonani, że był to przygotowany zamach. Gen. Sikorski był osobistością powszechnie na świecie znaną, szanowaną, przyjmowaną na wszystkich dworach, jak koronowana głowa. Dla takich osobistości podstawiano maszyny w stu procentach przygotowane i zabezpieczone od wypadków. A tu samolot, zanim osiągnął pułap, runął do wody. Nie mogliśmy się z tym pogodzić i duch w wojsku upadł na pewien czas. Przygnębienie było powszechne i ogromne. Póki gen. Sikorski żył, czuliśmy, że mamy opiekuna, z którym wszyscy się liczą, którego cenią, a przez to i nas muszą cenić. A po tym, jakby rękę odjął – kiedy ojciec rodziny umiera, to dom już nigdy dobrze prosperować nie będzie. W dalszych latach te sprawy wyrównały się tylko częściowo. Nigdy już takiej atmosfery w wojsku nie było, jak przed 4 lipca 1943 roku – przed tragedią w Gibraltarze. Gen. Sikorski miał coś takiego w sobie, że bez żadnego gestu, bez słowa, ale samą postawą wywoływał respekt i szacunek, był to po prostu człowiek Wielki.

### **W Palestynie, Libanie i Egipcie.**

W Palestynie bez przerwy przeprowadzaliśmy różne ćwiczenia. Teren w rejonie Gazy jest pustyнный, stepowy, szybko więc przenosiliśmy się w kierunku północnym, gdzie są wzgórza, nawet dość wysokie. W Palestynie spotkaliśmy dużo polskich Żydów, którzy znali nasz język. Wiele

dzieci, które już nie rodziły się w Polsce lub wyjechały malutkie, mówiło po polsku. Pewno dlatego, że ich rodzice nie bardzo dawali sobie radę ze zmianą języka. Trzeba powiedzieć, że Żydzi z Polski byli bardzo serdeczni. Zapraszali nas na różne uroczystości i gościli. Pobyt w tym kraju był ciekawy i przyjemny. Zwiedziliśmy całą Palestynę – ośrodki kultu religijnego z Jerozolimą na czele, Haifę i największy port Tel-Aviv oraz wiele innych mniejszych ośrodków, gdzie stacjonowały polskie oddziały. Nie znam takiego żołnierza, który nie zwiedziłby grobu Chrystusa i nie przeszedł Drogi Krzyżowej.

Pamiętam, że oprowadzał mnie kolega porucznik, który był przewodnikiem. Nazywał się Geniusz Pełka, bardzo porządny facet, Ślązak z pochodzenia. Przeszliśmy z nim i jeszcze jednym kolegą całą Drogę Krzyżową od pięknej bazyliki Zbawiciela, przez wszystkie górki, przez starą Jerozolimę, wąziutkimi uliczkami, gdzie na domach są odciski dłoni Chrystusa. Jeden taki odcisk widziałem. Podanie mówi, że kiedy Chrystus był już bardzo zmęczony oparł się o tę kamieniczkę i ślad jego dłoni pozostał na wieki. Kiedy zwiedzaliśmy te święte miejsca upał dochodził do 40° Celsjusza i trudno było iść. Niektórzy zrezygnowali, ale my przeszliśmy całą Drogę Krzyżową aż do ogrodu Getsemani. Rosło tam 8 drzew oliwnych, które rzekomo pamiętały czasy Chrystusa. Przewodnicy mówili, że pnie nie były te same, to przecież prawie 2 000 lat temu. Pozostały tylko korzenie, z których stale odrastają nowe drzewa, a wiek drzewa według korzenia się liczy. Następnie Golgota. Z pewnej odległości wygląda jak trupia czaszka. Wchodziliśmy na nią. Wszystko było tak, jak podaje Pismo Święte. Przejście Drogi Krzyżowej Chrystusa jest przeżyciem niezapomnianym. Kaplice w Bazylice Zbawiciela są przepiękne i przebogate. Każdy chrześcijański kościół ma tu swoją oddzielną kaplicę. Pamiętek moc, wszystko po prostu kapie złotem. Najbogatsza kaplica wg naszej oceny, to kaplica prawosławnych. Wyposażył ją tak jeden z carów.

Byłem również w Betlejem, w stajence, tam, gdzie narodził się Chrystus. Tutaj wygląda obecnie zupełnie inaczej, ale miejsce otoczone jest wielką czcią, pełne pielgrzymów, którzy w różny sposób oddają hołd Bogu. Przychodzą także niewierzący i ludzie innych wyznań. Widziałem Hinduśców i Mahometan, którzy zachowywali się z wielką czcią. Stajenka jest gliniana, z jednej strony odkryta. Wewnątrz są postacie Świętej Rodziny, anioły, dekoracje. W Palestynie nie ma zimą ze śniegiem i mrozami, takich



Fot. 23. Nad Morzem Śródziemnym w Tel-Awivie.

jak u nas. Owieczki pasą się przez cały rok i wraz z osłami są nieodłączną cechą krajobrazu. Pamiętam pasterkę w Jerozolimie w 1943 r. Był taki przeobrzymi zjazd wiernych, że wozy trzeba było parkować na 10 km przed Jerozolimą. Całe sąsiednie pola i wzgórza zastawione były tysiącami samochodów. Zjechali się nie tylko chrześcijanie, ale z ciekawości przyjechali również ludzie innych wyznań.

Po uroczystościach Bożego Narodzenia wyjechaliśmy transportem kołowym do Libanu. Piękna to była trasa. Tereny Libanu są bardziej górzyście, niż Palestyny. Jechaliśmy po przepięknych szosach i mieliśmy przez cały czas malownicze widoki. Szosy kręte, pnące się po wzgórzach serpentynami, pełno wieżyczek kościołów. Co wioska, to kościół. Libańczycy – to Arabowie chrześcijanie i to w większej części katolicy. Po pierwszej wojnie światowej był to mandat francuski. Francuzi umocnili katolicyzm i swoją kulturę, pomieszczeni też trochę ras. Dzieciarnia i duża część ludności wyglądała przyjemnie i była o wyższej kulturze niż Arabowie w Iraku. Tam należało wszystko strzec, bo zaraz ukradli, a na targu oszukali. Tu można było wszystko zostawić otworem i nigdy niczego nikt nie ruszył. Kobiety libańskie prały nam bieliznę z własnej chęci i nie chciały za to żadnej zapłaty. Oczywiście rewanżowaliśmy się prezentami, najczęściej żywnościowymi. Dzieci libańskie po prostu przyjaźniły się z nami.

Przystąpiliśmy do ćwiczeń. Chodziło o to, że mieliśmy być przeszkoleni jako oddziały wysokogórskie. Szybko opanowaliśmy wszystkie arkana tej sztuki: wspinaczki na linach, przepraw przez jary, używanie bloczków, klinów, wspinania się na stoki. Sprzęt mieliśmy dobry. Wszystko to było oczywiście połączone z ćwiczeniami wojennymi. Przez około 6 tygodni ćwiczyliśmy wspólnie z dywizją angielską. Mieliśmy już zaprawę w górach Rowandu w Iraku, potem w Palestynie, tak że sprawialiśmy się znacznie lepiej niż przewidywano. Ostatni dwutygodniowy etap ćwiczeń wykonaliśmy w ciągu tygodnia.

Poza ćwiczeniami mieliśmy różne rozrywki, spotkania z ludnością, czasem odczyty, polityczne dyskusje. Najbardziej utkwiał mi w pamięci bal sylwestrowy. Pierwszy bal sylwestrowy w wielkim świecie. Bal, o jakim mi się nigdy nawet nie śniło. W dniu 31 grudnia 1943 r. o godzinie dwunastej w południe byliśmy 150 km od Bejrutu. Już od kilku dni staraliśmy się ustalić, w jaki sposób moglibyśmy dostać się w Bejrucie na bal sylwestrowy. Dowódca batalionu wysłał na zwiady kilku naszych kolegów, ale jak

na złość ćwiczenia tego ostatniego dnia roku zaplanowano do późnych godzin wieczornych. Dzień był lekko dżdżysty, a droga trudna, wiele serpentyn i dziurawe nawierzchnie. Tak więc trudności spiętrzyły się na samym początku. Liban uważany był za "Małą Szwajcarię", a Bejrut za "Paryż Bliskiego Wschodu". Brygadier – generał Anglik dał się ubłagać naszej delegacji i wieczorne ćwiczenia zostały odłożone na kilka dni. O godzinie 14.00 wystaliśmy samochodem dwóch kolegów żeby przygotowali zakwaterowanie i zarezerwowali miejsca dla wszystkich na balu. Oczywiście, że koledzy zaopatrzeni byli w gotówkę – kilka tysięcy funtów, tak że powinno to wystarczyć. Pojechał kolega Gustaw Stypiński, warszawiak, dowódca łączności naszego 18. batalionu, wysoki, przystojny i sympatyczny. Prawnik z zawodu, znający język francuski i angielski, oraz kol. Rodziewicz znający język francuski. Ćwiczenia skończyliśmy około 16.00. W namiotach ogoliliśmy się przy mdłych światłach i umyli, wystroili się w uprzednio przygotowane mundury i około 17.00 wyruszyliśmy dwoma samochodami. Było nas czternastu. O 21.00 dotarliśmy do sześciopiętrowego hotelu "Normandia" w Bejrucie. Dwa piętra zarezerwowano na tańce. Cały hotel wypełniali przeważnie wojskowi, mundury jakie tylko są na



Fot. 24. W Libanie, 1944 r.

świecie, rasy także z całego świata. Po raz pierwszy widziałem przystojne, eleganckie i urocze Murzynki. Pięknie ubrane, z papierosem, toalety – ostatni krzyk mody. Adorowane były przez oficerów białej nacji. Było to dla nas zaskoczeniem. Nie byliśmy przyzwyczajeni do tego, że czarni ludzie mogą być na światowym poziomie. Bufety zaopatrzone wspaniale. Wódki i zakąski jakie można tylko było sobie wyobrazić. Dekoracje jak w bajce. Kolację mieliśmy przygotowaną w osobnym pokoju. Były zakąski i gorące dania, napoje alkoholowe i szampan, który czekał na wybicie północy. Zjedliśmy do syta i przepiliśmy obficie. Na sali balowej, zanim puściliśmy się w tany przyjrzelśmy się co i jak się tutaj tańczy. O północy mieliśmy spotkać się przy naszym stole. Każdy z nas mógł z sobą przyprowadzić gości znajomych lub poznanych tu na balu bez względu na broń i narodowość. Kobiety były bardzo przystępne. Chętnie przyjmowały zaproszenie i do stołu i do pokoju. Umowy, żeby nie zapraszać kobiet nie było. Żaden z nas z kobietą nie przyszedł. Kolega Czesio Rodziewicz, z którym do dziś utrzymuję kontakt, poznał na sali kapitana Australijczyka. Dogadali się trochę po francusku, trochę na migi, a że obaj mieli w czubie zapałali do siebie nagłą przyjaźnią.

Nowy Rok przywitaliśmy szampanem, radością i łzą w oku. Łzę wyciskały myśli o bliskich, o rodzinach w kraju i o tych kolegach, którzy pozostali na zimnym kontynencie Azji lub których duszę unosiły się nad nimi. Australijczyka wtedy z nami nie było, bo zapodział się gdzieś w różnobarwnym tłumie. Z brzękiem szkła popłynęła polska pieśń. Pieśń o kraju, wojsku i tęsknocie. Nic więc dziwnego, że pokój nasz zapełniać się zaczął gośćmi, którzy z okrzykiem Polen! Polen! wznosili na naszą cześć toasty. Znaleźli się i nasi oficerowie z okrętu podwodnego. Bal był upojny, nigdy przedtem ani potem takiego nie miałem. I pomyśleć, że to w środku wojny – nikt o wojnie nie myślał. Po chwilowych rozrzewnieniach, panowała całkowita beztroska, jakbyśmy przebywali nie na tym świecie. Nad ranem, gdy orkiestry już umilkły, musieliśmy się rozejść. Znalazł się wtedy nasz przyjaciel Australijczyk. Pojechaliśmy na miasto taksówkami. Chcieliśmy obejrzeć Bejrut w nocy i powitać świt. Australijczyk sprawiał trochę kłopotu, bo wypił za dużo, choć i my przecież nie byliśmy trzeźwi. Wystawiał Polaków, spotkanych pod Tobrukiem i mówił dużo, choć niewiele z tej australijskiej francuszczyzny mogliśmy zrozumieć. Bejrut był naprawdę piękny. Gmachy przepiękne, wystawy wspaniałe. Noworoczny świt zwi-

stował nowe i nieznanne. Zwiastował brzemienisty w wydarzenia rok 1944. Dla wielu z nas był to ostatni sylwestrowy bal.

Australijczyk, pochodzenia angielskiego, okazał się człowiekiem wykształconym i zamożnym. Miał wielką farmę, gdzie wypasały się tysiące owiec. Oczywiście uregulował za nas wszystkie rachunki, mimo protestów z naszej strony. Z domu otrzymywał tyle pieniędzy, że nikt z naszych oficerów w ciągu całego roku nie miał takiej gaży, ile jemu przysyłano miesięcznie. Pozostało nam jeszcze dwa dni urlopu, zwiedziliśmy więc prócz miasta wiele lokali rozrywkowych ekskluzywnych i egzotycznych. W pokojach bawialnych piękne damy tańczyły tylko w przewiewnych muślinach. Były to dziewczyny, które chciały lub musiały zarobić. Niejednokrotnie inteligentne, studentki, które znalazły się w trudnej sytuacji materialnej. Spotykaliśmy takie Turczynki, które były po dwóch, trzech latach wyższych studiów, władały doskonale językiem francuskim i angielskim. Zbierały pieniądze na posag lub żeby ukończyć studia. Salony były oczywiście podzielone na kategorie. Dla oficerów były inne niż dla podoficerów, jeszcze inne dla szeregowych, dla Murzynów i ludzi zwykłych o innych kolorach skóry – zupełnie oddzielne. Oczywiście i opłaty były bardzo zróżnicowane. Rozwiążność dziewczyn z jednej strony przerażała nas, ale z drugiej nie było to nieprzyjemne dla młodych oficerów, którzy nie musieli liczyć się z pieniędzmi.

Zwiedzaliśmy również piękne, bogato złożone sklepy. Półki i wieszaki uginały się pod różnymi towarami, jakich dotychczas nie widzieliśmy. Olbrzymi przepych i bogactwo rzucały się w oczy. Pamiętam ulicę, na której sklepy jubilerskie, jeden obok drugiego, pełne były złotej biżuterii, drogich kamieni oraz złotych szwajcarskich zegarków różnych fasonów. Nawet ramki do obrazków były ze szczerzego złota. Zegarek dobrej firmy Longines, Omega, czy inny równorzędny kosztował około 30-40 a nawet 60 funtów angielskich. Tymczasem w Kapsztadzie taki sam zegarek kosztował poniżej 20 funtów. Ale Kapsztad – to koniec świata, a Bejrut – to stolica Bliskiego Wschodu, pełna obecnie najprzeróżniejszych wojsk, różnych nacji, krzyżujących się wpływów i penetracji różnych służb wywiadowczych. Z pewnością wiele z tych eleganckich pań w luksusowych lokalach poza obdarowywaniem “miłością” miało i inne zadania.

Po ukończonych ćwiczeniach w Libanie, wysłuchaniu pochwał i pożegnaniu z Anglikami przeniesiono nas do Egiptu. Jechaliśmy koleją wzdłuż



Morza Śródziemnego. Na wielu odcinkach linia kolejowa przebiegała tak blisko brzegu, że doskonale widać było morze. Jechaliśmy przez Sydom, Hajfę, Tel-Awiv, Gazę, El-Cantarę do Ismaili, dwudziestotysięcznego miasteczka (obecnie ponad 250 000) położonego nad Kanałem Sueskim. Wokół rozciągała się pustynia. Ismaila powstała od podstaw dzięki Francuzom, którzy budowali kanał. Dlatego miasto to jest inne niż wszystkie miasta egipskie (arabskie). Domy były jedno - dwupiętrowe, a nad miasteczkiem górował kościół katolicki. W tej okolicy staliśmy około 2 tygodni. Z Libanu wyjeżdżaliśmy w ostatnich dniach stycznia (1944 roku), kiedy rozpoczynała się pora deszczu. Mieliśmy szczęście, bo w kilka dni po naszym wyjeździe runął, podmyty przez wodę, jeden z mostów, przez który jechaliśmy. Zwiedziliśmy Egipt. Byłem na kilku wycieczkach – w Cairo i w innych miastach. Nie zdążyłem jednak zwiedzić Aleksandrii. Wybraliśmy się do Assuanu, żeby zobaczyć pierwszą kataraktę Nilu, ale przesładował nas pech – samochód nie dojechał i musieliśmy zawrócić z drogi. Zdążyłem jednak nabrać wyobrażenia o wielkości Nilu, najdłuższej po Missisipi rzece świata. Nil w dolnym biegu wcale nie wygląda tak potężnie jak mi się wydawało. Na tej wysokości nie ma żadnych dopływów, tak że woda, która płynie z jeziora Wiktorii, z gór Abisynii, i zbiera się z różnych dopływów i bagnisk Sudanu, tutaj jak gdyby ginie. Wokół są pustynne piaski, a urodzajna dolina nie przekracza kilkunastu kilometrów szerokości. Widzieliśmy piramidy, sfinksa, Memfis. Cairo tak się rozrosło, że przedmieściami sięgało prawie piramid. Przed wiekami piramidy były daleko na pustyni. Piękne to były wycieczki, a doznanych wrażeń opowiedzieć się nie da – to wielkie niepowtarzalne przeżycie.

## **Walka.**

Przygotowaliśmy się do ewakuacji na Półwysep Apeniński, do Włoch. Przywieziono nas transportem kołowym do Port Saidu, po Aleksandrii największego portu Egiptu. Miasto to liczące około 300 000 mieszkańców ma wielkie znaczenie ze względu na Kanał Sueski. Wszystkie statki przepływające przez kanał, przepływają z północnej strony przez Port Said, a z południowej przez Suez. Nie umniejsza to jednak roli Aleksandrii jako portu.